

Jesteśmy rodzicami sześciorga dzieci. Trochę nietypowa to rodzinka, bo mamy dwóch synów i cztery Aniołki w niebie. Większość ludzi tych dzieci nie liczy, ale dla nas są tak samo ważne, jak te, które przeżyły i tak samo zajmują miejsce w naszych sercach.

Historia, którą chcę opowiedzieć zaczęła się prawie 7 lat temu.

Wtedy to rozpoczęliśmy wspólną drogę życia 23.08.2003 r. Wierzę mocno, że to, iż Grzegorz został moim mężem, to całkowicie wola Boża – bez niego trudno byłoby mi przejść przez to wszystko. Bóg wiedział jakiego mężczyzną mi dać, by nadać sens temu wszystkiemu, co miało nas spotkać.

Początkowo było, jak to się mówi, było różowo i kolorowo. Daliśmy sobie czas na tzw. „dogranie się” i dzieci planowaliśmy dopiero po studiach, czyli rok od ślubu. Magisterkę obroniłam w czerwcu i od razu zaczęliśmy myśleć o powiększeniu naszej rodzinki.

W założeniu jeszcze z przed ślubu myśleliśmy o trójce dzieci i być może czwartym adoptowanym. Nasz plan zaczął realizować się w październiku. Do dziś pamiętam to uczucie szczęścia i wszechogarniającej radości. Miałam uczucie, że latam i do głowy mi nie przyszło żeby myśleć, że oto właśnie nadszedł czas wyrzeczeń, bólu i ogromnego strachu. Ta bańka mydlana pękła w 8 tygodniu ciąży. Krwawienie sprawiło, że znalazłam się w szpitalu. Okazało się, że mam krwiaka i to on było powodem krwawienia. Dziecko żyło – odetchnęłam z ulgą. Po dwóch tygodniach wróciłam do domu, ale już bez wyobrażeń, jak to będzie cudownie z pytaniami jak będzie wyglądało itp., za to tylko z jednym pragnieniem „chcę by się urodziło”. Jedno takie wydarzenie zmienia całą ciążę. Pojawił się strach. W 13 tygodniu ponownie wróciłam do szpitala. Z latającej w przestworzach osóbkki szybko zesłam na ziemię, w końcu znowu coś było nie tak. Znowu zaczęłam się bać. To był akurat czas świąt Bożego Narodzenia – czas radości i pokoju. Dla mnie to był trudny czas, ale rozkwitła we mnie nadzieja. Po powrocie było już dobrze. Znowu zaczęłam snuć plany. W głowie przestawiałam meble by zmieścić łóżeczko. Powoli w wyobraźni zaczęłam wic gniazdko, w końcu to już połowa ciąży, a dzidzius dawał o sobie znać. I nagle w 21 tygodniu pojawiły się skurcze, krwotok i poród. Marcin urodził się już martwy o 2:05, 27.02.2005 r. Ważył zaledwie 450g i mierzył 21cm. Jeszcze dzień wcześniej miałam marzenia, a rankiem następnego dnia była już tylko głucha rozpacz. Nie dano mi nawet szansy pożegnać się z moim synkiem, wyrwano go ze mnie i zaraz potem uspiono, ukradkiem wynosząc moje słodkie dzieciątko. Rano obudziłam się w pokoju z dwiema ciężarnymi dziewczętami. Jak gdyby nigdy nic pielęgniarka przyszła słuchać tętna dziecka jednej z nich. Z bólu rozrywało mi serce – ja już nigdy nie usłyszę bicia serca mojego synka. Pusty brzuch, puste ramiona, potok łez i głucha rozpacz. Do domu wyszłam po trzech dniach z ogromną ulgą, choć i wszechogarniającą pustką. Nie chciano nam oddać Marcina, byśmy mogli go godnie pochować. Ówczesne prawo zezwalało zabrać dzieci urodzone po 23 tygodni ciąży lub ważące 500g. W obu przypadkach nieco nam zabrakło. Nastąpiła cisza. Nikt nie wiedział co mówić, jak się zachowywać, a ja zmuszałam się do wyjścia. Terroryzowałam się widokiem małych dzieci i kobiet w ciąży. Obracaliśmy się w takim towarzystwie, więc nie mogliśmy tak po prostu z niego zrezygnować, choć to bardzo bolało. Dziś wiem, że ci ludzie wtedy nic nie mówili – oni się za nas modlili, gdy ja płakałam codziennie przez pół roku. Grześ wspierał mnie, ale był też ostry i zmuszał mnie do normalnego funkcjonowania. Znalazłam pracę, a w wakacje otworzyłam się na kolejne dziecko. Termin porodu miałam na 08.05.2006 r. a już 24.09.2005 r. po raz kolejny pożegnałam nasze 8 tygodniowe maleństwo. Myślę że to było chłopiec – daliśmy mu na imię Dawid. Czułam, że ginę, zniechęciłam własne ciało, bo uważałam, że jest niezdolne do noszenia życia, że przynosi tylko śmierć. W towarzystwie znowu nastąpiła cisza. Pracowałam, więc szybko musiałam się ogarnąć tym bardziej, że to był pierwszy miesiąc w mojej nowej pracy. O tym, co mnie spotkało wiedziało tylko szefostwo – reszta pracowników nie, więc tym bardziej musiałam „trzymać fason”, choć nieraz chciało mi się płakać. Wśród znajomych, za to zaczęłam mówić o tym co mnie spotkało. Do tej pory milczałam, teraz nadszedł czas kiedy musiałam to wyrzucić z siebie. Lekarz, którego poznałam w szpitalu i który mówiąc najkrócej potraktował mnie po ludzku, gdy straciłam Dawida powiedział mi na kontrolnej wizycie, że tylko Bóg decyduje o życiu i nikt nie może mi powiedzieć, kiedy próbować by się udało. To mi dało taką moc... Uzmysłowił mi, że

przecież ja wierzę w Boga i wiem, że to co mówi jest prawdą. Nigdy nie winiłam Boga za to co nas spotkało, gdyby nie wiara to pewnie w momencie gdy zaczęłam nienawidzić własne ciało posunęłabym się do tego by je zniszczyć.

Zaczęłam patrzeć na nowo. Odzyskałam wzrok i zaczęłam myśleć pozytywnie. W końcu mam kochanego męża, który wciąż ze mną jest i wiem i czuje, że bardzo mnie kocha, no i przecież jest jeszcze Bóg...

Nigdy nie wierzyłam w sny, ale ten był tak mocny i taki inny. Dziś myślę, że to Bóg dał mi go by zaszczerpić we mnie wiarę w to, że z nim wszystko jest możliwe. Śniło mi się dwoje dzieci. Starsze niosło na rękach młodsze. Szli w stronę bardzo jasnego światła i wtedy usłyszałam głos, że nie będzie już więcej bólu, że po nocy przychodzi dzień... mój miał nastać niebawem, gdy na teście pojawiły się dwie kreski. W moim sercu był strach, ale i ogromna nadzieja i wiara. Potem miałam jeszcze jeden sen i to on sprawił, że do końca wierzyłam, że się uda. I teraz mogę powiedzieć, że sprawdził się w 100%. Bóg ostrzegał mnie, że nie będzie łatwo, ale nasza wiara i modlitwa otaczających i wspierających nas osób sprawi, że wydarzy się cud. Miałam urodzić syna i dać mu na imię Dawid. Bo to Dawid pokonał Goliata przez swoją wiarę. Mój syn miał wyjść spod szponów śmierci i dać wyraz, że Bóg jest od niej silniejszy.

Do szpitala trafiłam w 8 tygodniu ciąży z ogromnym krwotokiem. Na izbie przyjęć powiedziano mi, że już po wszystkim, ale na kontrolnym USG okazało się, że serce bije. A ja byłam tego pewna mimo kałuży krwi! Nie wiem skąd nagle we mnie ta wiara po takich przejściach, chyba po prostu uczepiłam się tego snu i mocno w niego wierzyłam. Potem w szpitalu pojawiliśmy się jeszcze raz w 21 tygodniu. To był dokładnie ten sam dzień ciąży, w którym straciliśmy Marcina. Poszłam do lekarza, bo coś się ze mną działo i do tego to złe przeczucie... Okazało się że mam niewydolność ciśnieniowo szyjkową i mam natychmiast jechać do szpitala. Szczerze mówiąc byłam już spakowana – takie małe przeczucie. W szpitalu nie dawano mi szans. Myśleli, że urodzę jeszcze tej nocy. Rozsyłaliśmy sms-y z prośbą o modlitwę wierząc, że Bóg wysłucha nas i tych wszystkich, którzy się za nas modlą. I wysłuchał... Leżałam 2,5 miesiąca plackiem, najpierw w Częstochowie, a potem po wielu perypetiach i po tym jak odeszły mi wody, przewieźli mnie do Katowic. Tam po 2 tygodniach 02.05.2006 r. o 9:10 urodziłam synka w 28 tygodniu ciąży z wagą 1040g, mierzył 38 cm. Ochrzciliśmy go w drugiej minucie życia imionami Dawid Marcin. Dawid – bo tak chciał Bóg (mimo że mieliśmy nie powtarzać imion naszych dzieci) i Marcin po braciszku który teraz miał stać się jego Aniołem Stróżem. Rokowania były nienajlepsze, ale Dawid żyje po dziś dzień i ma się bardzo dobrze. Dogonił rówieśników mając zaledwie 1,5 roku. Jest naszym ogromnym cudem i radością naszego życia. Do dziś każdego dnia z ogromną wdzięcznością patrzę na ten Boski cud i dziękuję Bogu że mi go dał.

Chcieliśmy jednak ziszczyć nasz plan posiadania większej ilości potomstwa i niespełna po dwóch latach zaczęliśmy się starać o kolejne dziecko. Nastawienie miałam pozytywne, jednak po takich przejściach dwie kreski na teście to nie tylko radość, ale też ogromny lęk i mnóstwo pytań o to jak to będzie. Już od początku były problemy. Najpierw plamienia a potem okazało się że owszem jest ale pusty pęcherzyk. To był 8 tydzień na USG powinno być już widać dziecko i jego bijące serduszko - my widzieliśmy tylko pęcherzyk ciążowy. Na cud czekaliśmy jeszcze dwa tygodnie, po czym 20.02.2008 r. poroniłam naszą córeczkę Magdę. Nie było mi z tym wcale lżej pomimo posiadania już dziecka. Jednak Dawid zmusił mnie do normalnego funkcjonowania dość szybko. Po tym poronieniu miałam trochę komplikacji i gdy wszystko się ułożyło po badaniach w klinice i dobrym przygotowaniu nastąpiła kolejna próba powiększenia rodзинki. Niestety znów spotkał nas zawód. Poroniłam 1.12.2009r. Myślę, że to był chłopiec. Daliśmy mu na imię Dominik. Od początku bowiem św. Dominikowi powierzyliśmy jego życie, jest przecież patronem kobiet w ciąży. Potem bezzwłocznie zaczęliśmy działać. 24.01.2009 r. miałam operację usunięcia przegrody macicy, która w połączeniu z niewydolnością szyjki w znacznym stopniu mogła wpłynąć na poronienia w późnym etapie ciąży jak to było przy Marcinie lub przedwczesny poród jak przy Dawidzie. Gdy tylko minął okres „dochodzenia” organizmu do siebie, począł się Mateusz z hebrajskiego „dar od Boga” – dla nas każde dziecko to ogromny dar, stąd to imię. Mateusz urodził się w 31 tygodniu ciąży z wagą 1220g, 46 cm. Od 7 tyg. Ciąży leżałam w łóżku. W 29 tyg. odeszły mi wody i trafiłam do

szpitala na Parkitce w Częstochowie, skąd przewieziono mnie do Bytomia. Urodziłam 24.11.2009 r. o 9:25. Po miesiącu mały był już z nami w domu. Odetchnęłam z ulgą. Niestety nie na długo, bo po dwóch tygodniach radości przyszedł czas strachu o jego życie. Znowu wróciliśmy do szpitala. Nie było czasu na Śląsk, więc pozostała nam Częstochowa i Parkitka, jako szpital z najlepszym sprzętem. Mateusz miał sepsę. Potem doszły jeszcze drgawki. Stan był bardzo ciężki. Grześ ochrzcił go w szpitalu, bo oboje liczyliśmy się z tym, że go już nie zobaczymy. Leżał na OIOM-ie pod wieloma kroplówkami. Znowu uruchomiliśmy prośbę o modlitwę. Byłam psychicznie wykończona, najchętniej nie wstawałabym z łóżka, gdy kolejno przychodziły sms-y z zapewnieniem o modlitwie i z wyrazem podziwu dla nas za siłę. Musiałam więc wstać i wykrzesać coś z siebie. Ci wszyscy ludzie wierzyli, że mam jeszcze siłę, podczas gdy ja prawie się poddawałam. Kryzys minął jeszcze tego samego dnia wieczorem, a Mateusza stan zdrowia zaczął się poprawiać w 3 dobie. Potem już z dnia na dzień było coraz lepiej. Jak będzie – nie wiem. Nasze życie ciągle daje nam nowe wyzwania, stawia kolejne belki pod nogi, ale daje też wiarę, nadzieję i miłość – one towarzyszą nam każdego dnia. Nie bez powodu ktoś powiedział, że dzieci są najwspanialszym cudem i zarazem darem danym nam od Boga. Ja mam dwa cuda i cztery Aniołki w niebie. Jakby to powiedział mój starszy synek: „Każdy z nas ma swojego prywatnego Anioła” ☺.